

Patryk Wróbel

TAM, GDZIE CZEKA MAGIA



Drogi Czytelniku, Droga Czytelniczko, Kochane dzieci...

Niektóre przygody zaczynają się od skrzypiących drzwi, inne od tajemniczego pukania...

Ale ta – zaczyna się od dziury.

Małej; z pozoru zwyczajnej. Zwyczaj jak łąka, przez którą przechodzisz co dzień.

Ale nie daj się zwieść.

Bo są miejsca, gdzie rzeczywistość jest cienka jak pajęczyna.

Gdzie magia nie krzyczy – tylko czeka.

Cicho. Cierpliwie.

Ta historia jest o rodzinie z Kosorowic.

Zwyczaj. Takiej jak Twoja.

A jednak... gdy mała Zosia znalazła tamtą dziurę – wszystko się zmieniło.

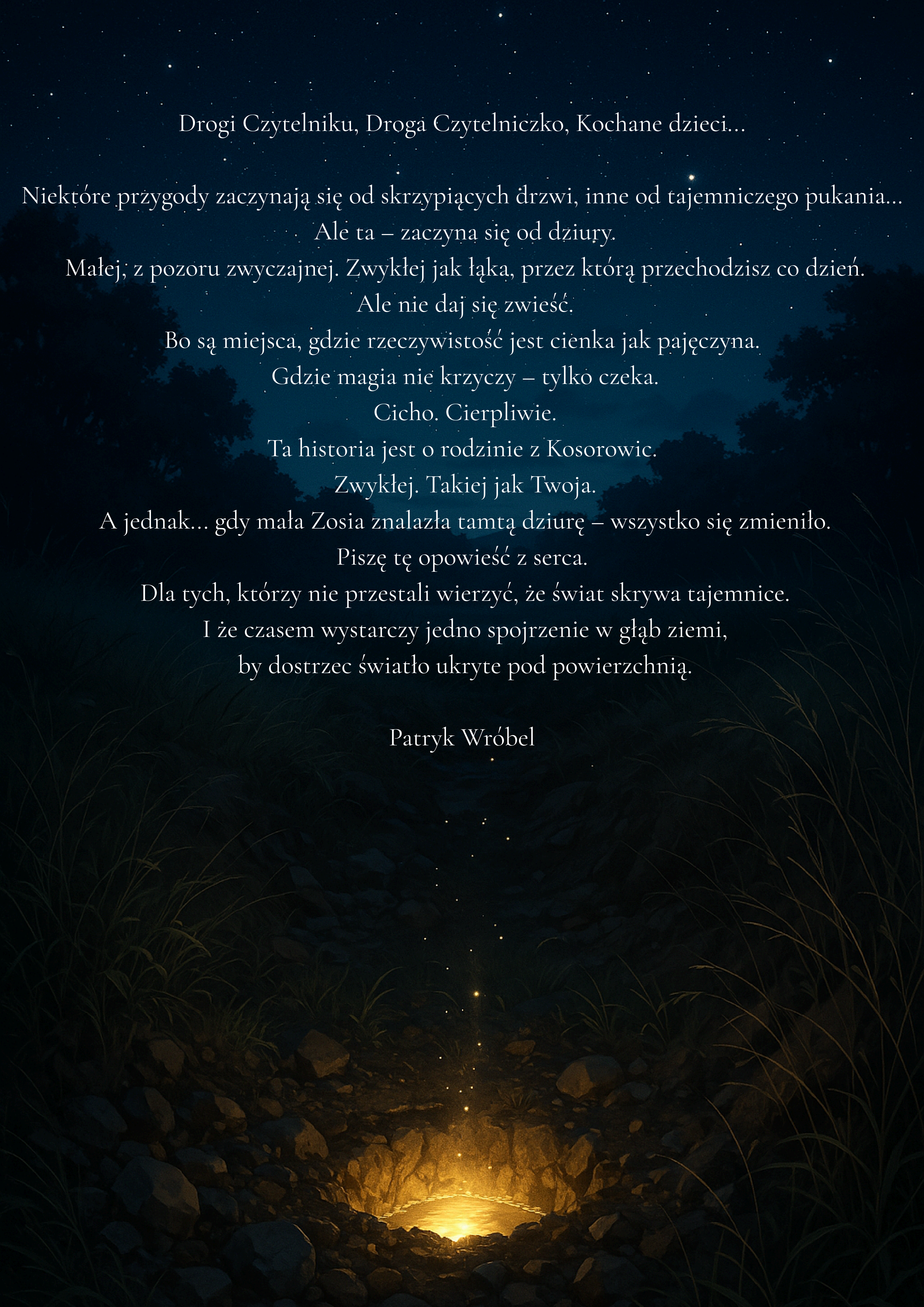
Piszę tę opowieść z serca.

Dla tych, którzy nie przestali wierzyć, że świat skrywa tajemnice.

I że czasem wystarczy jedno spojrzenie w głąb ziemi,

by dostrzec światło ukryte pod powierzchnią.

Patryk Wróbel





Była sobie wieś.

Nie za duża. Nie za mała.

Zwykła – jak chleb z masłem na śniadanie i zapach świeżo skoszonej trawy w czerwcu.

Nazywała się Kosorowice.

Większość ludzi mijała ją, nawet się nie rozglądając.

Bo cóż ciekawego może być tam, gdzie pola ciągną się aż po horyzont, a najgłośniejszym dźwiękiem jest świergot jaskółek?

A jednak...

Właśnie tam, na skraju lasu, gdzie ziemia pękła jakby od środka, zaczęła się historia, o której nie mówi się głośno.

Rodzina, która mieszkała w małym domu przy polnej drodze, nie szukała przygód.

Mama śmiała się cicho, Tata lubił dłubać przy starych rzeczach, a dzieci – Hania, Franek i Zosia – były jak dzieci w każdej innej wsi.

Aż do dnia, kiedy Zosia pierwszy raz zobaczyła dziurę, której tajemnicę знаła tylko mama....

To była sobota.

Nie różniła się niczym od innych – słońce jeszcze nie zaszło, ale cienie drzew już się wydłużały.

Rodzeństwo bawiło się na skraju łąki.

Zosia, jak zawsze pierwsza, wbiegła w wysoką trawę, jakby coś ją tam wołało.

– Haniaaaa! Chodź zobaczyć! – krzyknęła z ekscytacją.

Hania, najstarsza, potarła nos, poprawiła kitkę i ruszyła za siostrą.

– Tylko nie wpadaj znowu w pokrzywy – zawołała rozbawiona.

Franek został jeszcze chwilę w tyle.

Patrzył na małego motyla, który usiadł mu na dłoni.

Zamiast biec – rysował palcem po ziemi spirale, jakby chciał je zapamiętać.

A potem...

Zosia zamilkła.

Stała przy czymś, co wyglądało jak dziura.

Ale nie taka zwykła – nie po krecie, nie po korzeniu.

To było jak pęknięcie. Jakby ziemia coś ukrywała, a teraz chciała to pokazać.

Z wnętrza sączyło się światło.

Ciche, delikatne, złotawe.

Nie migotało – tylko płynęło powoli, jakby oddychało.

– To... to świeci – szepnęła Hania.

Franek tylko skinął głową.

Po raz pierwszy nie miał słów.



– Zosia... – szepnęła Hania, stając tuż obok.

– Nie ruszaj tego, proszę...

Ale Zosia już klęczała przy brzegu.

Drobne palce dotknęły trawy, a potem ziemi,
która była... ciepła.

Nie gorąca.

Nie zimna.

Po prostu – jakby żywa.

Franek uklęknął po drugiej stronie.

Wyciągnął rękę, ale nie dotknął światła.

Zamiast tego zamknął oczy, jakby słuchał.

– Słyszycie to? – zapytał cicho.

– Co? – spytały jednocześnie dziewczynki.

– Nie wiem... To nie jest dźwięk.

To... jakby coś mnie wołało. Bez słów.

Zosia spojrzała na niego poważnie.

Nie często tak robiła. Zwykle rozrabiała, żartowała, biegła szybciej niż wiatr.

Ale teraz – milczała.

Gdzieś w oddali zaszczekał pies.

A niebo zrobiło się trochę ciemniejsze.

Tylko światło z dziury

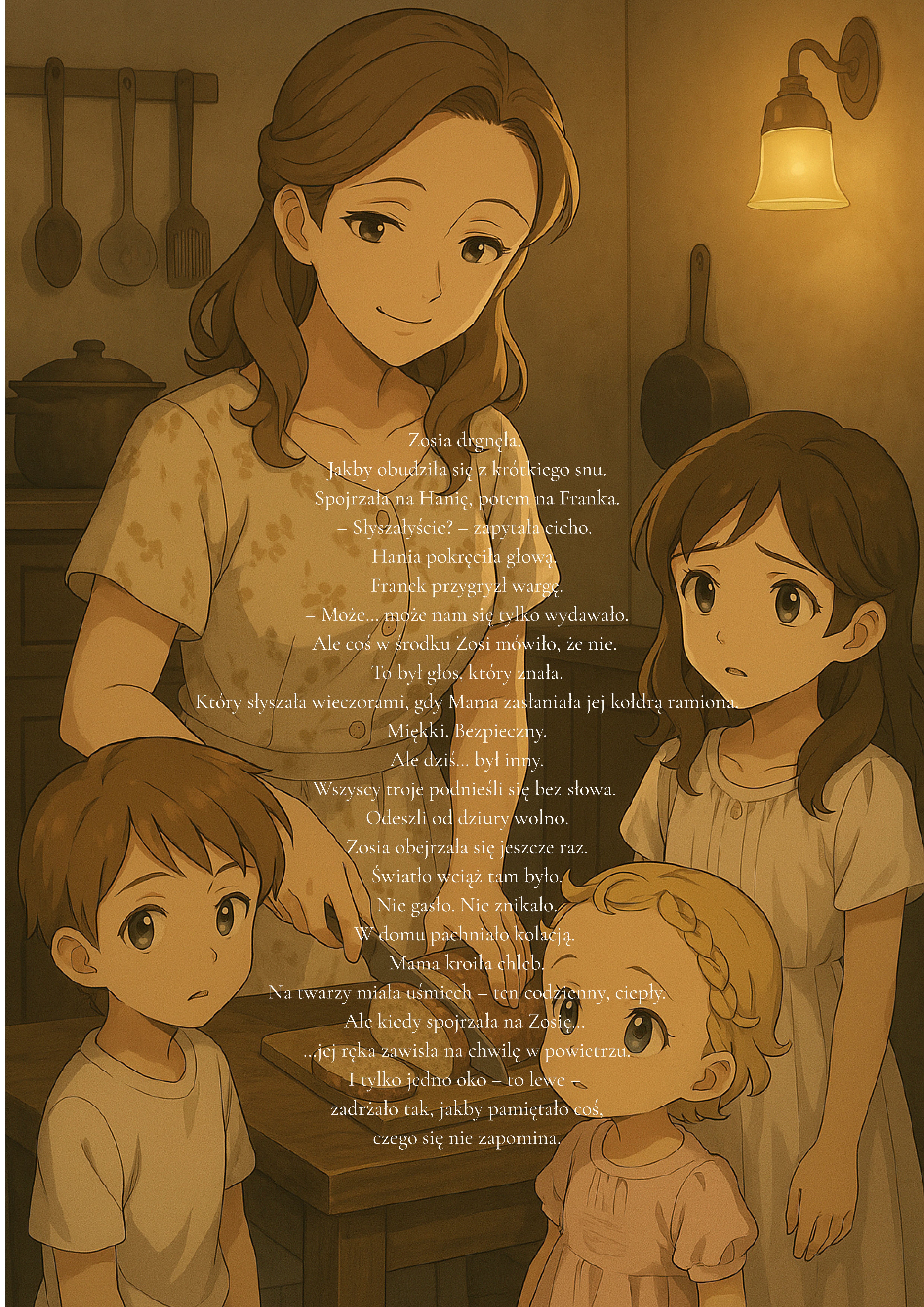
wciąż płynęło

i nie gasło.



Zosia pochyliła się jeszcze bliżej.
Jej twarz była teraz tuż nad światłem.
W jego blasku wyglądała inaczej – jakby starsza. Jakby ktoś inny patrzył jej oczami.
Hania odsunęła się o krok.
– Zosia... wracajmy. Mama nas wołała, pamiętasz?
Ale Zosia nie odpowiedziała.
Jej dłoń wisiała tuż nad dziurą.
I wtedy... światło drgnęło.
Jakby coś poruszyło się pod ziemią.
Franek spojrzał w głąb otworu.
Zamarł.
– Tam jest... coś – wyszeptał. – To się rusza.
I w tym właśnie momencie
wiatr zerwał się nagle – zimny, niespodziewany.
Zachybotały drzewa.
A zza wzgórza
rozległ się głos Mamy.
Nie krzyczała.
Nie wołała po imieniu.
Po prostu powiedziała jedno zdanie,
tak cicho, że dzieci nie były pewne, czy to naprawdę usłyszały:
– Zosia... nie teraz. Jeszcze nie teraz.





Zosia drgnęła.
Jakby obudziła się z krótkiego snu.
Spojrzała na Hanię, potem na Franka.
– Słyszałyście? – zapytała cicho.
Hania pokręciła głową.
Franek przygryzł wargę.
– Może... może nam się tylko wydawało.
Ale coś w środku Zosi mówiło, że nie.
To był głos, który znała.
Który słyszała wieczorami, gdy Mama zasłaniała jej kołdrą ramiona.
Miękki. Bezpieczny.
Ale dziś... był inny.
Wszyscy troje podnieśli się bez słowa.
Odeszli od dziury wolno.
Zosia obejrzała się jeszcze raz.
Światło wciąż tam było.
Nie gasło. Nie znikало.
W domu pachniało kolacją.
Mama kroїła chleb.
Na twarzy miała uśmiech – ten codzienny, ciepły.
Ale kiedy spojrzała na Zosię...
...jej ręka zawisała na chwilę w powietrzu.
I tylko jedno oko – to lewe –
zadrżało tak, jakby pamiętało coś,
czego się nie zapomina.

Mama kroїła chleb z wprawą, jakby w dłoni miała własny rytm.

Ale jej oczy błyszczały inaczej niż zwykle.

Nie smutno.

Nie strasznie.

Po prostu... jakby coś sobie przypomniała.

– To była dziura, prawda? – spytała cicho Zosia.

Mama nie odpowiedziała od razu.

Popatrzyła na córkę, potem na Hanię i Franka.

– Widziałam ją, Mamusiu. I ona... świeciła.

Franek uniósł wzrok.

– To nie było normalne światło. Jak z latarki.

– Jakby... oddychało – dodała Hania.

Mama w końcu się uśmiechnęła.

Ciepło. Trochę z rozbawieniem.

Trochę z niedowierzaniem.

– No dobrze – powiedziała cicho. –

Skoro już was znalazła...

Zrobiła krótką pauzę.

– ...to jutro zabieram was w miejsce, gdzie zaczyna się magia.



Następnego dnia nie było ani śniadania, ani szkoły, ani zwykłego „zawiąż buty!”.

Była cisza poranka i tajemniczy uśmiech Mamy.

– Ubierajcie się. Wygodne buty. I bez pytań – powiedziała.

Hania podskakiwała z radości.

Franek założył plecak, chociaż nikt mu nie kazał.

A Zosia... już czekała przy drzwiach, zapięta od stóp do głów.

Tata zszedł po schodach z kubkiem kawy.

– A wy dokąd tak z rana? – zapytał, ziewając.

Mama spojrzała na niego i powiedziała spokojnie:

– Do dziury.

Tata aż stanął.

– Do czego?!

Mama zaśmiała się i pokręciła głową:

– Do dziury – odpowiedziała, z tym swoim spojrzeniem, które mówiło „zaufaj mi”.

Tata popatrzył na dzieci, potem na Mamę.

Wzruszył ramionami.

– No dobra. Ale jeśli to coś zjada tatusiów, to się wycofuję.

Dzieci wybuchnęły śmiechem.

I tak – wszyscy razem –

ruszyli przez lekką mgłę,

w stronę miejsca, gdzie światło wciąż czekało.



Szli przez pola, a poranna mgła ustępowała z każdym krokiem.
Trawa była mokra, a powietrze pachniało tak, jakby cały świat właśnie się budził.

Zosia prowadziła.

Franek za nią, zamyślony jak zwykle.

Hania rozmawiała sama ze sobą – wymyślała nazwy dla mijanych drzew.

Tata sapał lekko pod nosem.

– Kto wymyślił takie wędrowki o tej porze...

Ale Mama szła cicho.

Z uśmiechem.

Jakby dokładnie wiedziała, dokąd iść –
nawet gdy ścieżka przestawała być widoczna.

W końcu dotarli.

Dziura czekała tam, gdzie zawsze.

Tylko... teraz wyglądała inaczej.

Światło było jaśniejsze.

Trawa wokół niej – sucha, jakby parę godzin temu była lato, a nie wiosna.

Powietrze delikatnie drgało.

– Okej... – powiedział Tata, patrząc na dziurę. –

– To oficjalnie przestaje być zwykła wyprawa.

Zosia spojrzała na Mamę.

– Mamusiu...

Czy teraz... już możemy?

Mama skinęła głową.

– Tak.

Teraz już tak.



Zosia zrobiła pierwszy krok.

Potem drugi.

Zeszła powoli, jakby schodziła po niewidzialnych schodach zrobionych z samego światła.
Za nią ruszyła Hania – z otwartymi oczami i uśmiechem, jakby właśnie spełniało się marzenie.

Franek szedł trzeci.

Zupełnie cicho.

Z ręką przy sercu.

Tata spojrzał na Mamę.

– Serio? Mam tam wejść?

Mama się uśmiechnęła.

– Ty chyba żartujesz? Teraz ja!

– Nie – dodała po chwili. – Chyba nigdy nie byłam bardziej poważna.

I wtedy... Tata też wszedł.

Mama została ostatnia.

Zanim zrobiła krok, spojrzała jeszcze raz na niebo.

Było takie samo jak zawsze.

A jednak – jakby żegnało ją na chwilę.

I wtedy stało się coś niezwykłego.

Światło ich nie pochłonięło.

Nie porwało.

Nie wystrzeliło.

Ono ich po prostu przeniosło.

Cicho.

Miękko.

Jak sen...

z którego nikt nie chce się obudzić.





Było cicho.

Nie taka cisza jak w nocy.

To była cisza... inna.

Jakby cały świat czekał, aż coś powiesz.

Ziemia pod stopami była miękka,
jakby rosła z niej trawa, ale nie taka zwykła –
cichutko świeciła bladym światłem.

Zosia uklękła i dotknęła źdźbła.

Było chłodne i przyjemne, jak aksamit.

Hania zakręciła się w kółko.

– To jest najpiękniejsze miejsce, w jakim byłam! – zawołała.

Franek milczał.

Spojrzał w górę.

A niebo...

Nie było niebem.

Było jak wielka kopuła z tysiącem gwiazd,
które ruszały się powoli,
jakby tańczyły dla nich.

Tata uniósł brwi.

– No dobra. To nie są Bieszczady.

Mama uśmiechnęła się tylko.

– Witamy w Krainie, gdzie czeka magia.



– Myślicie, że tu mieszkają jakieś stworzenia? – zapytała Hania, rozglądając się z szerokim uśmiechem.

– Pewnie całe stado jednorożców – mruknął Tata, odgarniając liść z włosów.

Franek patrzył przed siebie.

– Cisza tu jest... ale jakby coś nas słuchało.

I wtedy to usłyszeli.

Dźwięk.

Delikatny.

Jak szelest skrzydeł albo skrzypienie drzwi w bardzo starym domu.

Zosia od razu ruszyła w kierunku, z którego dobiegał.

– Zosiu! – zawołała Mama.

– Nie oddalaj się!

Ale Zosia już zniknęła za niewielkim wzgórzem.

Za nią pobięła Hania.

Franek spojrzał na Tatę, potem na Mamę.

– Idziemy?

Mama westchnęła.

I ruszyli.

Za wzgórzem znajdowała się polana.

Na jej środku... coś czekało.

Coś, co wyglądało jak...

kamień.

Albo jajo.

Albo... coś pomiędzy.

Zosia już trzymała dłoń tuż nad nim.

Zosia zawahała się tylko przez sekundę.

Potem dotknęła.

Jej palce zetknęły się z powierzchnią kamienia –
chłodną, gładką,
ale jakby... pulsującą.

W tej samej chwili
obiekt rozbłysł światłem.

Z początku ledwie widocznym,
potem coraz jaśniejszym –
aż cała polana zadrżała cichym, niskim dźwiękiem.

Hania chwyciła Zosię za ramię.

Franek cofnął się o krok.

Tata zakrył oczy dłonią.

Mama nie ruszyła się wcale.

Z wnętrza kamienia
wydobyło się światło –
nie złote, jak w dziurze,
ale niebieskie, żywe, jak iskra z nieba.

Unosiło się powoli, jakby badało powietrze.

A potem...

zaczęło tworzyć kształt.

Najpierw kontur.

Potem oczy.

Potem...

skrzydła.

Dzieci patrzyły w absolutnym milczeniu.

Aż w końcu rozległ się głos.

Cichy.

Czysty.

Jakby wprost w ich głowach:

– Dobrze, że przyszliście.

Czekaliśmy.





Z błękitnego światła
wyłonił się kształt.
Nie był ani człowiekiem,
ani zwierzęciem.
Był jak cień ze światła.
Jak duch... który potrafi się uśmiechać.
Miał skrzydła, ale nie ptasie.
Miał oczy, ale nie świeciły, tylko migotały jak gwiazdy.
Dzieci patrzyły jak zahipnotyzowane.
– Kim jesteś? – wyszeptała Zosia.
Istota uniosła się nieco wyżej,
jakby chciała, by wszyscy ją dobrze widzieli.
– Jestem strażnikiem Przejścia – powiedziała.
– Ale nie najważniejsze jest, kim ja jestem.
Spojrzała na nich wszystkich.
– Pytanie brzmi: kim wy się staniecie...
...jeśli zostanieie tu choć chwilę dłużej?
Hania ścisnęła rękę Franka.
Frank nie drgnął, ale w oczach miał tysiąc pytań.
Zosia zrobiła krok do przodu.
– Czy to... jest sen?
Istota uśmiechnęła się jeszcze bardziej.
– Nie. To jest miejsce, gdzie sny mają swoje domy.



Istota uniosła się wyżej,
a światło wokół niej zaczęło się poruszać –
jakby cały świat oddychał razem z nią.
– Przejście zostało otwarte – powiedziała.
– Ale tylko ci, którzy znają siebie, mogą iść dalej.

Zosia spojrzała na Franka.

Franek na Hanię.

Hania... jakby rozumiała już wszystko.

– Każde z was musi przejść własną ścieżkę – powiedziała Istota.

– Nie razem.

– Ale nie będziecie sami.

Zosia zrobiła krok do przodu.

– Czy to będą zagadki? Albo smok?

Istota zaśmiała się lekko.

– Nie.

– To będą miejsca, gdzie odkryjecie coś,
co już od dawna w sobie nosicie...
tylko jeszcze nie wiecie, że to tam jest.

– A co jeśli się nie uda? – zapytał cicho Franek.

– Nie ma „nie uda się” – odpowiedziała Istota.

– Są tylko kroki, które prowadzą wolniej.

Tata chciał coś powiedzieć, ale Mama chwyciła go za rękę.

– Daj im spróbować – szepnęła.

Istota wskazała dłonią trzy drogi.

Wyrastały jak ze snu –
z mgły, światła i muzyki,
której nie dało się usłyszeć, tylko poczuć.

– Wybierzcie.

Czas was prowadzi.

Zosia wybrała ścieżkę po lewej.
Była jak tunel z liści – miękkich, jasnozielonych, pachnących miodem.
Każdy krok sprawiał, że ziemia pod stopami leciutko się ugiwała.

Biegła.

Bo przecież Zosia zawsze biegła.

– Hej! Przygodo! – zawołała. – Gdzie się chowasz?!

I wtedy zobaczyła go.

Mały ptak.

Nie większy niż jej dłoń.

Siedział na gałęzi i...

plakał.

Zosia zatrzymała się.

Powoli.

Nie biegła dalej.

Podeszła na palcach.

Pochyliła głowę.

– Hej... co się stało?

Ptaszek nie odpowiedział.

Ale łezka spłynęła mu po piórku,
jakby woda miała coś do powiedzenia.

Zosia usiadła pod drzewem.

I pierwszy raz od bardzo dawna
nie zrobiła nic.

Tylko była.

Cicho. Obok.

Z sercem na otwartym miejscu.

Po chwili ptaszek podleciał bliżej.

Usiadł na jej ramieniu.

I zaśpiewał.

Ale to nie był zwykły śpiew.

To był śpiew, który znała...
choć nigdy wcześniej go nie słyszała.

Zamknęła oczy.

I poczuła:

to właśnie była magia.



Franek szedł ścieżką środkową.

Była cicha.

Bez śpiewu ptaków.

Bez wiatru.

Tylko miękkie światło jak z latarni pod wodą.

Drzewa po obu stronach były wysokie, jak kolumny w pradawnej świątyni.

Ich kora miała rysunki – jakby ktoś je rzeźbił przez tysiące lat.

Franek przesunął dłonią po jednej z nich.

Poczuł ciepło.

Zatrzymał się.

Spojrzał w górę.

A tam – zamiast liści –

obrazy.

Wiszące jak w galerii.

Poruszały się powoli, jeden po drugim.

Pierwszy:

Mały chłopiec, który rysował na piasku spiralę.

Drugi:

Ten sam chłopiec...

Patrzący w niebo.

Trzeci:

Ten chłopiec – już trochę starszy –
stoi wśród ludzi, ale patrzy gdzie indziej.

W stronę czegoś, czego inni nie widzą.

Franek zrobił krok do tyłu.

– To... ja – wyszeptał.

Z ciszy wyłonił się dźwięk.

Nie dało się go opisać –
jakby świat grał na strunie,
która była częścią jego serca.

Franek uklęknął.

Zamknął oczy.

Nie musiał rozumieć.

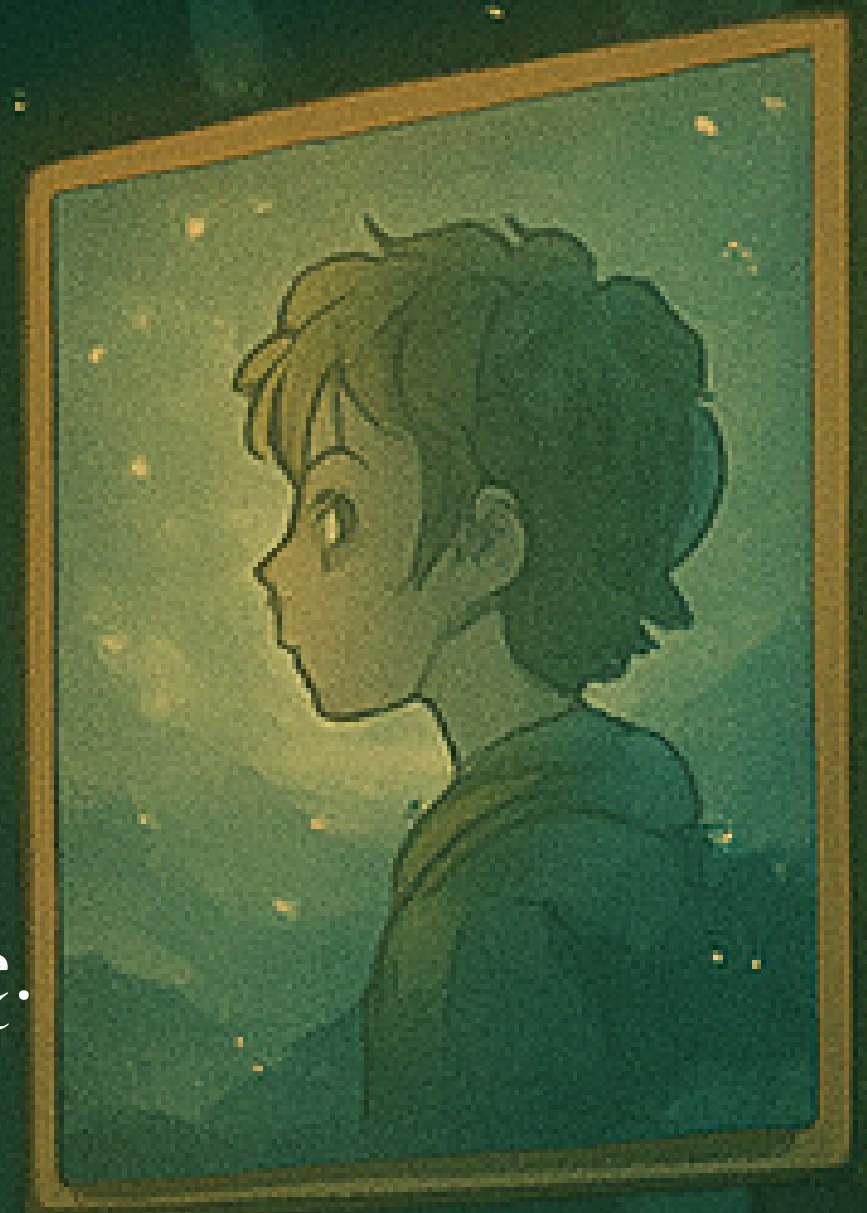
Wystarczyło, że czuł.

I w tej chwili,

po raz pierwszy,

zobaczył...

siebie – takim, jakim naprawdę był.





Hania weszła na ścieżkę po prawej.
Już po kilku krokach usłyszała coś dziwnego: śmiech.

Ale nie złośliwy.

Nie sztuczny.

To był śmiech prawdziwy –
pełen iskier, jak odbicia słońca na wodzie.

– Hej? Kto tam? – zawołała.

Z krzaków wyskoczyły... istoty.

Były małe, kolorowe,
z ogromnymi uszami i wielkimi oczami.

Ich ciała błyszczały jak bańki mydlane.

– Przyszła! – pisnęła jedna.

– To ta od uśmiechu!

– Od radości! – dodała druga.

– Od chichotów! – wrzasnęła trzecia i przewróciła się ze śmiechu.

Hania parsknęła śmiechem.

Nie mogła inaczej.

Nagle... pojawił się cień.

Wysoki. Ciemny. Cichy.

Istoty zamilkły.

Wszystko zgasło.

Radość – jakby uciekła.

Cień zbliżył się powoli.

Nie miał twarzy.

Nie miał słów.

Tylko... zimno.

Hania zrobiła krok w przód.

Potem drugi.

A potem... zaczęła tańczyć.

W milczeniu.

Z zamkniętymi oczami.

Lekko. Ciepło. Bez strachu.

Z każdą jej nutą

cień cofał się.

Z każdym ruchem

wracał kolor.

Z każdym obrotem

w istotkach znowu budził się śmiech.

I wtedy Hania zatrzymała się,

spojrzała w cień

i powiedziała tylko jedno:

– No weź, Ty chyba żartujesz?

Cień... pękł.

Rozpadł się na tysiąc złotych iskier.

A świat znowu był pełen dźwięku i tańca.



Zosia wróciła pierwsza.
Usiadła na trawie.
Nie mówiła nic.
Ale jej oczy były spokojne,
jakby znały odpowiedź na pytanie, którego jeszcze nikt nie zadał.
Po chwili z mgły wyszła Hania.
W ręce miała garść błyszczących liści.
– Takie mi dały w prezencie – powiedziała z uśmiechem.
– Powiedziały, że śmiech to też broń.
Usiadła obok Zosi.
Bez słów.
A potem pojawił się Franek.
Szurając butami, zamyślony jak zawsze.
Ale coś w jego ruchu było inne.
Pewniejsze.
Spojrzał na siostry.
– Te drzewa mówiły obrazami.
– I... myślę, że ja też kiedyś tak będę potrafił.
Zosia uniosła głowę.
– Co teraz?
I wtedy, jakby z odpowiedzią,
z nieba zaczęły spadać płatki.
Nie śniegu.
Nie deszczu.
Tylko światła.
Miękkiego. Ciepłego.
Jakby cały świat powiedział: „Dobrze. Jesteście gotowi.”
Zza drzew wyszli Mama i Tata.
Nie pytali, co się działo.
Nie trzeba było.
Mama tylko spojrzała na nich wszystkich.
– No to chodźmy – powiedziała z uśmiechem.
– Jeszcze trochę drogi przed nami.

Istota pojawiła się znówu.

Nie wiadomo skąd.

Po prostu... była.

Jej światło nie raziło.

Było jak ogień w kominku –

znane, ciepłe, spokojne.

– Przeszłście swoje ścieżki – powiedziała.

– Każde z was...

zostawiło coś za sobą.

I zabrało coś nowego.

Dzieci milczały.

Nie trzeba było mówić.

– Ale to dopiero początek.

Franek uniósł brwi.

– Czyli to nie był test?

– To było lustro – odpowiedziała Istota.

– A teraz... czas ruszyć w drogę.

Hania spojrzała przed siebie.

W oddali – między wzgórzami – coś się poruszało.

Delikatnie. Jak cień.

Zosia zbliżyła się do Istoty.

– Dokąd mamy iść?

Istota spojrzała w górę.

A niebo... poruszyło się.

Gwiazdy ułożyły w znak – koło z trzema promieniami.

– Musicie odnaleźć trzy Źródła – powiedziała cicho.

– Jedno ukryte w Czasie.

Drugie – w Pamięci.

Trzecie – w Tym, co Jeszcze Nie Nadeszło.

Tata spojrzał z niedowierzaniem.

– Ty chyba żartujesz?

Mama zaśmiała się pierwszy raz od dawna.

– Nie, kochanie.

Tym razem...

to my ruszamy w przygodę.



Droga nie była wyraźna.
Nie miała tabliczek, asfaltu, ani ścieżek w trawie.
Był tylko kierunek:
I światło, które czasem znikало, żeby znów się pojawić.
Mama szła przodem, trzymając Zosię za rękę.
Tata niósł plecak, który wydawał się cięższy niż był w rzeczywistości.
Hania podskakiwała co trzeci krok.
Franek co chwilę coś szkicował patykiem po ziemi.
A Zosia...
Zosia rozglądała się w każdą stronę, jakby nie chciała przegapić nawet jednego cudu.
Gdzieś nad nimi leciał ptak.
Ten sam, którego spotkała Zosia.
Gdzieś obok drzew, małeńkie istoty tańczyły,
ale nie zbliżały się – tylko patrzyły z zachwytem.
A przed nimi, hen daleko,
wznosiła się wieża.
Bardzo stara.
Zbudowana z tego samego światła, które ich przeniosło.
Nikt nie wiedział, co ich tam czeka.
I nikt nie musiał wiedzieć.
Bo szli razem.
A tam, gdzie jest miłość, odwaga i trochę śmiechu –
zawsze czeka magia.



PAMIĘTAJ, ŻE LUDZIE POWINNI DĄŻYĆ DO PRAWDY,
BO TYLKO ONA OTWIERA PRAWDZIWE DRZWI DO MAGII
-PATRYK WRÓBEL





Wierz